

Drodzy Przyjaciele Misji Franciszkańskich!

W lipcu i sierpniu odwiedziłem moich współpracowników w Burundi, Ugandzie i Tanzanii. Okazją do tych odwiedzin były święcenia kapłańskie, pierwsze śluby zakonne nowicjuszy i wizytacja kanoniczna. Spośród wielu wydarzeń, jakie miały miejsce podczas tych dwóch miesięcy, opiszę tylko kilka.

W piątek 16-go lipca w godzinach przedpołudniowych dotarłem samolotem do miasta Bujumbura, które jest stolicą Burundi. Tam na lotnisku czekał na mnie Br. Theonest Kagenzi, gwardian w naszej wspólnoty w Gitega. Dotarliśmy do tego miasta po prawie trzech godzinach jazdy samochodem. Po południu, gdy poszedłem do jadalni napić się kawy, spotkałem tam pewnego młodego człowieka, który pozdrowił mnie po polsku, i to czysto po polsku, a nie jakies tam „ja chcieć, ja być”. Byłem zaskoczony, bo tym młodym człowiekiem był rdzenny Burundyjczyk. Po chwili wszystko zostało wyjaśnione, po polsku. W Burundi pracują polscy Karmelici i oni to wysłali jednego ze swoich kleryków na studia teologiczne do Polski, do Krakowa. Spotkaliśmy się w Burundi, bo był akurat na urlopie w domu.

Następnego dnia, w sobotę 17-go lipca, o 8.30 pojechaliśmy wszyscy (a było nas Franciszkanów dość dużo, bo aż 20-stu) do lokalnego sanktuarium Matki Bożej, znajdującego się w pobliżu katedry i rezydencji arcybiskupiej, gdzie miała się odbyć uroczystość święceń kapłańskich. Tam nareszcie spotkałem naszego współpracownika, Diakona Hermenegilda Birushe, który był jednym z dziesięciu kandydatów do święceń kapłańskich. Procesja do ołtarza polowego rozpoczęła się o 9.30. Trwała dość długo, bo kapłanów i kleryków było bardzo dużo. Według niektórych obliczeń tylko kapłanów było ponad 150. Przybyli prawie wszyscy kapłani, którzy pracują w Archidiecezji Gitega. Głównym celebransem był oczywiście Arcybiskup Gitega, Jego Eksceleńcja Simon Ntamwana, a towarzyszył mu Biskup Bonawentura, pochodzący z tej Archidiecezji. Był też obecny na tej uroczystości drugi wiceprezydent Burundi. Małe państwo, a urzędników dużo, ale nie ma innego wyjścia. Dla utrzymania spokoju prezydent musi jakoś obdarować swoich kolegów, którzy walczyli po jego stronie w wojnie domowej. Przejdźmy jednak do wydarzenia religijnego, gdyż to było najważniejsze tego dnia. Po kazaniu, bardzo krótkim jak na warunki afrykańskie, rozpoczęła się ceremonia święceń. W tej diecezji wszystkie święcenia odbywają się tylko jeden jedyny raz w roku. W tym samym dniu klerycy otrzymują też posługę lektora i akolity. Tak więc po kazaniu najpierw 10-ciu kleryków otrzymało posługę lektora, a pięciu – posługę akolity. Potem czterech akolitów zostało wyświęconych na diakonów, a dopiero na koniec 10-ciu diakonów zostało wyświęconych na kapłanów. Jak już wspominałem, był także wśród nich nasz współpracownik, Hermenegild. Jest on trzecim Franciszkaninem pochodzącym z Burundi wyświęconym na kapłana. Po nałożeniu rąk przez Arcybiskupa na każdego nowego kapłana, tę samą czynność powtórzyli wszyscy obecni kapłani. Trwało to chyba dłużej niż pół godziny. Potem kontynuowana była Msza św. Oczywiście, wokół ołtarza, razem z Arcybiskupem, stali nowowyświęceni kapłani. Pomimo tego, że było dużo ludzi Komunia św. nie trwała długo – kapłanów też było mnóstwo. Na koniec przemówił jeszcze drugi wiceprezydent Burundi, a potem wszyscy obecni otrzymali podwójne błogosławieństwo: najpierw od nowowyświęconych kapłanów, a następnie od Arcybiskupa. W procesji przeszliśmy do sali, gdzie ubieraliśmy się przed Mszą św. Miałem okazję dopiero wtedy przywitać się z Arcybiskupem. Dowiedziałem się też od współpracowników, bo nie miałem zegarka, że cała uroczystość trwała tylko 5,5 godzin. Trochę mi się to dłużyło, a to dlatego, że wszystko było w języku Kirundi. Siedziałem zatem jak na przysłowiowym tureckim kazaniu. Był przy mnie jeden ksiądz, który miał mi służyć jako tłumacz, ale głupio mi było budzić go co chwilę. Po tej części uroczystości święceń przeszliśmy do ogrodu arcybiskupiego, gdzie

było przyjęcie dla specjalnych gości. Każdy z nowowyświęconych kapłanów mógł zaprosić 10 osób. Po powrocie do naszego domu, około godz. 18-tej, kontynuowaliśmy świętowanie w ogrodzie klasztornym, gdzie wszystko było już przygotowane. Dla tych, którzy nie załapali się na ucztę u Arcybiskupa, była to obiadowa kolacja. Wszyscy jedli do syta, a i tak jeszcze dużo zostało. Wszystko było fajne, ale atmosfera była trochę sztywna, a to dlatego, że było... mało piwa. Tak, to prawda. W Burundi podczas jakiegokolwiek święta może nie być jedzenia, ale musi być piwo. Piwa było mało, bo pomimo wszelkich prób, gwardianowi nie udało się kupić więcej. Takie było pragnienie w Gitega, że pobliski browar nie mógł nadażyć z produkcją!

W niedzielę, 18-go lipca, o 9.30 pojechaliśmy do parafii Giheta skąd pochodzi Hermenegild, 8km od Gitega. W Giheta była kolejna uroczystość – prymicje O. Hermenegilda. Plac przed kościołem, plebania i sam kościół były pięknie przystrojone na tę okazję. Duży kościół nie mógł pomieścić wszystkich, takie tłumy się tam zgromadziły. O 10.30 przeszliśmy w procesji z plebanii do kościoła. Trwało to chyba 15 albo 20 minut. Po dotarciu do ołtarza rozpoczęła się Msza św. Była to trochę dziwna Msza prymicyjna, bo prymicjant nie był głównym celebransem. Był nim wspomniany wcześniej Biskup Bonawentura, pochodzący z tej parafii. Został zaproszony przez Hermenegilda i przybył, a jak już przybył, to chciał być najważniejszy. Było nas około 20-stu kapłanów, którzy koncelebrowaliśmy tę Mszę św. Wśród nas byli też dwaj inni nowowyświęceni kapłani pochodzący z tej parafii. Kazanie głosił prymicjant Hermenegild. Miał to zrobić ktoś inny, ale ponieważ Biskup przewodniczył, nakazał Hermenegildowi wygłosić kazanie, żeby podkreślić, iż jest to jednak jego święto. Po Komunii św. znowu były przemówienia. Msza św. trwała tylko trzy godziny. Potem pojechaliśmy do domu rodzinnego O. Hermenegilda. Tam, przed domem, został ustawiony duży namiot, do którego mieli wstęp tylko zaproszeni goście. Najpierw była modlitwa, a potem dostaliśmy napoje chłodzące, wśród których nie zabrakło piwa, także tradycyjnego. Następnie został przyniesiony wielki stół, na którym ustawiono różne dania. Pięknie to wszystko wyglądało. Widać było, że jest to fachowa robota jakiegoś specjalisty od gotowania, który pracował być może w jakimś lepszym hotelu w stolicy. Nie pytałem o to, bo jedzenie było bardzo dobre i na tym się skoncentrowałem. Po obiedzie były życzenia, jeszcze raz przemówienia i składanie podarunków. Było też ciasto, które uroczyście przeciął prymicjant razem ze swoją mamą. To przecięcie jest bardzo ważne, bo bez tego nikt by nie ruszył tego ciasta. Swoją drogą, to ciasto było trochę nieudane. Wyglądało tak, jakby ktoś usiadł na nim, ale nikt się tym nie przejmował. Było dobre. Około 18.30 podziękowaliśmy pięknie za goścień, pożegnaliśmy się z Hermenegildem i jego mamą i wróciliśmy do domu. Trochę później oglądaliśmy w telewizji lokalne wiadomości. W tych wiadomościach pokazali też sobotnią uroczystość święceń kapłańskich w Gitega. Moja twarz też się tam pokazała kilka razy. Być może z tego powodu spało mi się tak dobrze. Wróciłem do Nairobi w poniedziałek, 19-go lipca, ponieważ następnego dnia rozpoczęło się tam zebranie zarządu naszej prowincji.

W sobotę, 30-go lipca ruszyłem w kolejną podróż, tym razem do Ugandy, do naszego nowicjatu w Mbarara. Autobus firmy „Kampala Coach” miał odjechać o 13-tej. Odjechał jednak dopiero o 15.15 z powodu jakichś problemów technicznych. Większość pasażerów stanowili Rwandyjczycy, bo autobus jechał do stolicy Rwandy, Kigali. Na granicy, w miasteczku Busia, byliśmy kilka minut po północy. Po stronie kenijskiej nie było żadnych problemów. Po stronie ugandyjskiej też nie było problemów z paszportami, ale były problemy z celnikami. W autobusie było kilka osób przewożących z Kenii do Rwandy większą ilość niektórych artykułów. Myśleli chyba, że celnicy będą spali z soboty na niedzielę, a ci jak na złość byli w pełnej gotowości bojowej i mieli dużo czasu. Powyciągali te wszystkie rzeczy z autobusu i ich właściciele musieli zapłacić cło. W takiej sytuacji, zamiast stać tylko jakieś pół godziny, staliśmy całą godzinę. Nie miało to większego znaczenia, bo i tak byliśmy spóźnieni. Ruszyliśmy dalej, w kierunku Kampali, kilka minut po pierwszej w nocy w niedzielę, 31-go lipca. O 4-tej byliśmy w Kampali. Tam znowu staliśmy prawie godzinę, ponieważ było kilku pasażerów, którzy kupili bilet na ten autobus, a nie było dla nich

wolnych miejsc. Było wcześniej rano i w końcu konduktor zgodził się na tych dodatkowych pasażerów. O tej porze policjanci jeszcze spali. Do Mbarara, celu mojej podróży, dojechalśmy szczęśliwie o 8.30. Tam wysiadłem. Potem motocyklem-taxi dojechałem do nowicjatu. Chciałem zdążyć na Mszę św. o godzinie ósmej, ale oczywiście nie zdążyłem. Dziwiłem się, że tak dużo ludzi było na tej Mszy, a nie jest to nawet stacja misyjna. Kaplica jest mała, a zatem większość siedziała na zewnątrz. Jest to ładne miejsce, gdy nie pada deszcz. O 18.30 zebrałiśmy się wszyscy w kaplicy nowicjackiej. Podczas niesporów dwaj kandydaci, którzy w maju ukończyli dwa lata postulatu w Tanzanii, zostali przyjęci do nowicjatu i obleczeni w habit franciszkański. Obydwaj są z Ugandy. Magister nowicjatu i gwardian też są z Ugandy. Jedyne O. Rufin, który też należy do tej wspólnoty, jest „obcy”, bo pochodzi z Ukrainy.

2-go sierpnia to już tradycyjnie w naszej prowincji dzień, w którym nowicjusze składają swoje pierwsze śluby zakonne. Pomimo tego, iż był to wtorek, dzień roboczy, przed kaplicą nowicjacką zgromadziła się spora grupa wiernych, którzy chcieli być świadkami tego wydarzenia. Procesja z nowicjatu do kaplicy ruszyła kilka minut po 11-tej. Po Ewangelii nowicjusze Elcardo i Wiktor publicznie orzekli, że są gotowi do złożenia swoich pierwszych ślubów zakonnych, a po kazaniu złożyli, każdy osobno, swoje śluby. Była to wielka radość dla nich samych i dla ich bliskich. Ojciec Wiktora przyjechał na tę uroczystość z Kenii, bo stamtąd pochodzi Wiktor. Elcardo pochodzi z Ugandy, z naszej parafii w Rushooka. Była obecna jego mama i inni członkowie jego rodziny. Przed końcowym błogosławieństwem była okazja do tego, aby wszyscy obecni złożyli życzenia Wiktorowi i Elcardowi i ofiarowali swoje dary. Było też kilka przemówień. Po Mszy św., krótko po 14-tej, przeszliśmy do suto zastawionych stołów, aby posilić też nasze ciała. Muszę dodać, że te suto zastawione stoły były też zasługą ludzi, którzy przychodzą na Mszę św. do kaplicy nowicjackiej, oraz kilku lokalnych dobrodziejów. Wszystko było bardzo dobre, a jedzenia starczyło dla wszystkich gości i domowników. Było tam przynajmniej 200 osób. Muszę jeszcze dodać, że razem z Elcardo i Wiktorem czterech innych nowicjuszy skończyło nowicjat w tym roku; dwaj byli z Zimbabwe, a dwaj inni – z Republiki Południowej Afryki. Po zakończeniu nowicjatu wrócili do swoich prowincji i tam złożyli pierwsze śluby zakonne. O 17-tej pożegnałem się ze współbraćmi w nowicjacie i pojechałem do Rushooki razem z tamtejszymi współbraćmi. Samochód, którym jechaliśmy, Toyota Pick-up był pełny, i w środku i na zewnątrz. Zabraliśmy ze sobą Elcarda i jego mamę oraz kilku parafian z Rushooki. Po półtorzej godzinie jazdy byliśmy na miejscu. Wszystko było przygotowane na nasz przyjazd, a szczególnie pokoje, które nie są duże (2mx2m), ale wystarczające dla gości. Byłem w Rushooce do 10-go sierpnia, a byłem tam po to, aby przeprowadzić wizytację kanoniczną. 10-go sierpnia wróciłem do nowicjatu, aby tam też przeprowadzić wizytację. 11-go sierpnia byliśmy wszyscy u Sióstr Klarysek w parafii Nyamitanga, 4km od centrum Mbarara, aby uczcić uroczystość św. Klary. Myślę, że nam się to udało.

W środę, 17-go sierpnia, ruszyliśmy (Br. Fidelis. S. Vedrana i ja) o 6.30 autobusem firmy „Swift Safaris” do miasta Masaka, w połowie drogi z Mbarara do Kampali. Dotarliśmy tam po dwóch godzinach jazdy (jakieś 130km). Taksówką dojechalśmy do centrum miasta, a stamtąd inną taksówką (możnaby powiedzieć – dalekobiezną taksówką) dotarliśmy do granicy z Tanzanią w miejscowości Mutukula (88km). Na granicy wszystko poszło bardzo sprawnie. Musieliśmy jedynie poczekać trochę na S. Vedranę aż dostanie wizę do Tanzanii. Nie było z tym problemów, a jedynie trochę papierkowej roboty. Nie musieliśmy długo szukać kolejnego środka transportu, ponieważ minibus już na nas czekał przed wejściem do budynku straży granicznej. Nie zamówiliśmy go. Po prostu kierowca i konduktor widzieli aż trzech pasażerów naraz i nie chcieli przegapić takiej okazji. Czekaliśmy kilka minut aż zjawią się jeszcze inni pasażerowie i w końcu ruszyliśmy w kierunku miejscowości Kyaka. Podróż na odcinku 30km (od granicy do Kyaka) trwała trochę długo, ale dla mnie ważne było to, że kierowca nie szalał na drodze. A to, że zatrzymywał się co pięć minut, aby kogoś zabrać albo

wysadzić, wcale mi nie przeszkadzało. Do Kyaka dotarliśmy około 11-tej. Tam, ku mojemu zaskoczeniu, czekał na nas Br. Theonest Kagenzi. Nie wiedziałem, że tak umówili się z Br. Fidelisem. Najpierw poszliśmy do półgwiazdkowej restauracji na kawę. Nie mieli tam wrzącej wody (ani też innej wody), ale gorące mleko, do którego dodaliśmy rozpuszczalnej kawy. Dziwiliśmy się, że nie mają wody, bo 100 metrów od restauracji płynie wielka rzeka Kagera. Widocznie mleko jest tam tańsze, niż woda. O 12-tej udało nam się zdobyć miejsce w minibusie jadącym do Kayanga, do celu naszej podróży. Minibusów było dużo, ale wszystkie były pełne, bo jechały z miasta Bukoba. Ten jeden miał cztery wolne miejsca. Nie była to wygodna jazda, ale najważniejsze było to, że jechaliśmy. Byliśmy ściśnięci jak sardynki w puszcze, a było w tym minibusie „tylko” 21 pasażerów (normalnie powinno ich być 14). Cały czas była polna droga, oprócz ostatnich dziesięciu kilometrów. Kierowca nie zważał jednak na te warunki drogowe i jechał bardzo szybko. Przez pierwsze 40km nie widzieliśmy żadnych domów, jakbyśmy jechali przez jakiś park narodowy. Brakowało tylko zwierząt, dzikich, bo krowy widzieliśmy od czasu do czasu. Ostatnie dwadzieścia kilometrów to był już teren górzysty. Dobrze, że nie padało, bo te drogi muszą być chyba śliskie w takiej pogodzie, a nie widziałem tam żadnych zabezpieczeń na poboczach. Po 72 kilometrach jazdy dotarliśmy do miasteczka Kayanga. Jest to siedziba powiatu Karagwe, a od trzech lat także siedziba Biskupa Diecezji Kayanga. My jechaliśmy jeszcze trochę dalej, 8km, do parafii Bugene, skąd pochodzi nasz współbrat Cyrianus, który następnego dnia miał otrzymać święcenia kapłańskie. W parafii Bugene, najstarszej w tej diecezji (1936 r.), zostaliśmy przyjęci bardzo serdecznie przez proboszcza tej parafii, Ks. Edwarda i jego wikarego, Ks. Nikodema. Była to moja pierwsza wizyta w tym regionie Tanzanii. Dominują w tym regionie kawa i banany. Po krótkiej ceremonii powitania dostaliśmy pokoje na probostwie, a potem zostaliśmy zaproszeni na obiad. Była godz. 14.30. Na miejscu byli już inni współbracia: O. Michael i Br. Florentyn z Kenii, O. Theonest i O. Festus z Mwanzy w Tanzanii, oraz O. Pelagio z Burundi. Po obiedzie proboszcz pokazał nam kilka ważnych pomieszczeń na probostwie, jak np. ubikacja i prysznic. Byłem zaskoczony, bo ubikacja była bardziej prymitywna, niż w naszym nowicjacie w Mbarara. Taką ubikację mieliśmy też w Dowa, gdy tam przybyliśmy w 1992 roku. Musiał to być wynalazek opatentowany przez Białych Ojców, którzy zakładali pierwsze misje w Tanzanii i w Malawi. W prysznicu nie było wody bieżącej, ale tylko wiadro z wodą i miska. Prawdziwie misyjne warunki. O 17-tej pojechaliśmy wszyscy, razem z proboszczem, do parafii katedralnej, gdzie mieszka także Biskup Almachius Rweyongeza. Biskup przyjął nas bardzo serdecznie. Spotkaliśmy tam też naszego współbrata, Diakona Cyrianusa. Biskup zaprosił go do swojego domu, aby tam dobrze przygotował się do uroczystości święceń kapłańskich. Omówiliśmy z Biskupem program tej uroczystości, a potem poszliśmy do katedry zbudowanej przez austriackiego księdza, który jest proboszczem parafii katedralnej. Nie spotkaliśmy go jednak, ponieważ pojechał z dwójką młodzieży do Madrytu na Światowy Dzień Młodzieży. Katedra jest bardzo duża, zbudowana w formie krzyża. W tej samej formie są wszystkie okna w katedrze. Na pewno wiele pieniędzy na tę budowę przyszło z Austrii skoro w ołtarzu są nawet relikwie Błogosławionego Austriaka, męczennika Drugiej Wojny Światowej. Po tej wizycie u Biskupa wróciliśmy do parafii Bugene.

Czwartek, 18-go sierpnia, był wielkim dniem dla Diakona Cyrianusa, jego rodziców i rodzeństwa, a także dla naszej prowincji zakonnej. O 10-tej ruszyła procesja do ołtarza polowego, ustawionego obok kościoła parafialnego. Było nas, razem z Biskupem, około 35-ciu kapłanów. Wśród nas był też oczywiście bohater tego dnia, Diakon Cyrianus, otoczony rodzicami, rodzeństwem i innymi członkami licznej rodziny. Pochodzi z rodziny, gdzie jest 12 dzieci. Jego starszy brat jest księdzem diecezjalnym. Po dojściu do ołtarza rozpoczęła się Msza św. w języku Kiswahili. Po Ewangelii wezwałem Cyrianusa do wyrażenia publicznie swojej woli, czy chce być wyświęcony na kapłana. Odpowiedź była pozytywna. Nikt zresztą nie spodziewał się innej odpowiedzi. Cyrianus czekał na tę chwilę 12 lat. Potem przedstawiłem go Biskupowi zapewniając, że jest gotowy do przyjęcia święceń kapłańskich.

Po kazaniu, kontynuowane były obrzędy święceń. To oczywiście należy do Biskupa, który robił to bardzo sprawnie i fachowo. Po włożeniu rąk na Cyrianusa (przez Biskupa i wszystkich kapłanów) i po modlitwie konsekracyjnej, był on już kapłanem. Jego radość była wielka, a nasza też, bo mamy jeszcze jednego kapłana i w Kościele i w naszej prowincji, a potrzebujemy ich bardzo. Po Komunii św. podziękowałem Biskupowi za udzielenie Cyrianusowi święceń kapłańskich. Na koniec otrzymaliśmy podwójnie błogosławieństwo, najpierw od nowego kapłana, a potem od Biskupa. Po Mszy była jeszcze krótka sesja zdjęciowa, a następnie przeszliśmy do zakrystii, aby zdjąć szaty liturgiczne. Nie trwało to długo, bo musieliśmy wrócić do miejsca, gdzie była odprawiona Msza św., aby mogła się rozpocząć część artystyczna. Rozpoczęła się ona mocnym akcentem – od wykonania tańca ludowego przez zespół młodzieżowy pochodzący z tejże parafii. Ten taniec był tak dynamiczny, że dołączyli do niego nie tylko młodzi, ale i starsi obywatele, od których bym się tego nie spodziewał. Potem były jeszcze inne występy i liczne przemówienia, a także składanie darów dla nowowyświęconego kapłana. Trwało to wszystko do 15-tej. Tę część zakończył Biskup odmawiając krótką modlitwę i udzielając jeszcze raz błogosławieństwa. Następnie zaproszeni goście przeszli do sali parafialnej na obiad. Tych zaproszonych gości było chyba 200, a może i więcej. Jedzenia starczyło dla wszystkich. Biskupa pożegnaliśmy około 17-tej. Wieczorem niektórzy z nas oglądali w telewizji relację z pierwszego spotkania Ojca Św. Benedykta XVI z młodzieżą zgromadzoną w Madrycie. Na pewno na żywo było to jeszcze większe przeżycie, ale nie można przecież być na każdym odpuscie.

W piątek, 19-go sierpnia, pojechaliśmy o 9.30 do wioski, z której pochodzi Cyrianus. Tam, przy domu jego rodziców, rozpoczęła się o 10.15 Msza św. prymicyjna. Przybyli na nią mieszkańcy tej wioski oraz zaproszeni goście. Była też spora grupa księży (około 20-stu), sióstr zakonnych, kilku naszych braci i kleryków diecezjalnych. Cyrianus spisał się bardzo dobrze i z pomocą proboszcza odprawił spokojnie swoją pierwszą Mszę św. Kaznodzieją był ksiądz pochodzący z tej samej parafii co on. Jest to parafia bogata w powołania, bo wywodzi się z niej 12-stu kapłanów, w tym trzy pary rodzeństwa, jak np. Cyrianus i jego brat Caius. Po Komunii św. były trzy przemówienia: proboszcza, moje i Cyrianusa. Po końcowym błogosławieństwie zostaliśmy wszyscy zaproszeni na obiad, przygotowany przez Koło Gospodyń Wiejskich albo coś podobnego do tego. Obiad był bardzo dobry, ale nie mieliśmy wiele czasu, żeby go jeść spokojnie, a nawet coś jeszcze dołożyć. Jedni dalej cieszyli się tym dobrym obiadem, a inni, wśród których byłem i ja, pożegnali się z wszystkimi i razem z proboszczem wrócili na plebanię. Na plebanii spakowaliśmy szybko nasze rzeczy i ruszyliśmy na przystanek minibusów. Dobrze, że był też z nami Br. Theonest Kagenzi, który pochodzi z tamtych stron. Dzięki niemu udało nam się szybko znaleźć minibus jadący do Bukoby (130km). Ruszyliśmy tam o 14-tej i po trzygodzinnej jeździe dojechaliśmy szczęśliwie do tego miasta. Potem pojechaliśmy taskówką w pobliże portu, do drukarni diecezjalnej, w której pracuje Br. Dominik ze zgromadzenia Braci od św. Karola Lwangi. Nikt z nas go nie znał, ale to była właśnie okazja, aby go poznać. A musieliśmy go poznać, bo miał dla nas bilety na prom „Wiktoria”, na nocną podróż do Mwanza. Br. Dominik przyjął nas bardzo serdecznie, zaprosił do skromnego mieszkanka przy drukarni i poczęstował zimnymi napojami. Potem zniknął, bo miał jakąś pilną pracę w drukarni i więcej go już nie widzieliśmy. O 19.45 ruszyliśmy pieszo do portu. Dobrze, że niektórzy z nas mieli latarki, bo było strasznie ciemno, przynajmniej dla mnie. Na promie mieliśmy miejsca leżące w drugiej klasie, w tej samej kajucie. Ruszyliśmy w podróż do Mwanza kilka minut po 21-szej. Dopłynęliśmy tam szczęśliwie w sobotę rano o 6.45. Potem miejskim minibusem dojechaliśmy do przystanku „Kanisani” („przy kościele”) i po 10-ciu minutach marszu byliśmy w naszym postulatcie w dzielnicy Ilemela. Tam kontynuowałem wizytację, ale to już jest inna historia.

Drodzy Przyjaciele Misji Franciszkańskich, korzystam z tej okazji, aby Wam podziękować za Wasze modlitwy i dary na rzecz misji. Dziękuję Wam za to, że wspieracie nas, misjonarzy w

naszej posłudze głoszenia Słowa Bożego i niesienia pomocy ludziom potrzebującym. Nie wyobrażam sobie mojej pracy na misjach bez Waszego wsparcia. Niech Dobry Bóg Wam to wszystko wynagrodzi i niech Was błogosławi. Proszę zarazem o dalszą modlitwę i o dary na rzecz misji, abyśmy tę posługę mogli kontynuować, bo potrzeby są wielkie. Serdecznie pozdrawiam. Szczęść Boże.

O. Sebastian Unsner, OFM

Misjonarz w Kenii